

**„Demokracja – demokracją, ale ktoś tym przecież musi rządzić”, czyli kulisy wyborów
w Tupadłach**

Kilka lat temu na stronie internetowej jednego z serwisów aukcyjnych moją uwagę przykuła oferta sprzedaży skromnie wydanej książki autorstwa pana Zygryda Prószyńskiego, zatytułowanej *Z belferskiego podwórka*. Kiedy z opisu dowiedziałem się, że autor w pierwszej części książki zamieścił wspomnienia sprzed wojny z pracy nauczycielskiej w Tupadłach – kaszubskiej wsi leżącej blisko morza – nie zastanawiałem się nad kupnem ani minuty, tym bardziej, że cena była nad wyraz kusząca („aż” sześć złotych, z czego pięć złotych to koszty przesyłki). Po paru dniach oczekiwania wspomnienia Prószyńskiego w końcu trafiły do moich rąk. Lektura *Z belferskiego podwórka* nie zawiodła moich oczekiwań; z każdą przeczytaną stroną stawałem się bogatszy o wiedzę dotyczącą kultury kaszubskiej, specyfiki pracy przedwojennego wiejskiego *szkólnégò* (nauczyciela), relacji pomiędzy ludnością kaszubską a napływową itd., itp. W pewnym momencie, podczas czytania, aż podskoczyłem z wrażenia na fotelu i o mało co nie zachłysnąłem się herbatą. Taką reakcję wywołał opis przebiegu wyborów na sołtysa w Tupadłach w roku 1934 – jest to w istocie kwintesencja rządów sanacji, jej stosunku do woli wyborców, toteż postanowiłem poświęcić temu wydarzeniu niniejszy rozdział. Ale aby cała rzecz była w pełni zrozumiała, koniecznie należy przybliżyć Czytelnikom otoczkę, kontekst owych wyborów, tzn. napisać co nieco na temat traktowania Kaszubów przez sanację. Tym spośród Czytelników, którym nieobca jest ta tematyka, albo też pamiętają moje uwagi zawarte w ostatnim rozdziale *Czarnej księgi sanacji*, proponuję żeby pominęli następny (czyli drugi) akapit i dalszą lekturę kontynuowali od akapitu trzeciego.

Stosunek sanacji do ludności kaszubskiej nacechowany był nieufnością i pogardą. Ta sanacyjna antykaszubskość wynikała z dwóch przyczyn. Po pierwsze, Kaszubi mieli pecha, a to dlatego, że zamieszkiwali ziemie byłego zaboru pruskiego. Dla sanacji wszystko co polskie, arcy-polskie, najwartościowsze dla Polski – wiązało się z zaborem rosyjskim i austriackim. To przecież tam przyszły marszałek prowadził wraz z gronem swoich współpracowników działalność niepodległościową. Natomiast dzielnica pruska – jako bastion endecji – była traktowana przez piłsudczyków z wielką podejrzliwością. Z drugiej strony, mieszkańcy Pomorza czy Wielkopolski nie darzyli zbyt wielką estymą piłsudczyków; wśród Kaszubów większą popularnością i uznaniem na pewno cieszył się generał Józef Haller, a nie marszałek Piłsudski. Po drugie, sanacja po zdobyciu władzy, szermując na prawo i lewo „ideą państwowotwórczą”, uznawała dążenia Kaszubów do pielęgnowania własnej kultury, języka i obyczajów za przejaw działalności antypaństwowej, za

dążenia odśrodkowe i proniemieckie (podobnie zresztą było na Śląsku, gdzie sanacja zaciekle zwalczała autonomię). Wszelkie działania kaszubskie na tym polu (np. wydawanie czasopisma „Zrzesz Kaszëbskô”, czy założenie Zrzeszenia Regionalnego Kaszubów), doprowadzały sanatorów do białej gorączki. Sanacja reagowała na nie brutalnie i histerycznie. Nasyłano na ziemię kaszubskie całe hordy „lepszych Polaków”, którzy rugowali Kaszubów z urzędów i stanowisk; nawet posady woźnych w urzędach zastrzeżono dla „lepszych Polaków”! Jeśli Kaszuba ukończył studia z reguły wysyłano go do województw wschodnich, w żadnym wypadku na Kaszuby. Podobnie postępowano z nauczycielami aktywnymi na niwie kaszubskiej: Stefana Bieszka przeniesiono do Zamościa, a Jana Trepczyka do Rogoźna w Wielkopolsce. Polaków wychowanych pod panowaniem cesarza austriackiego i cara rosyjskiego, przysyłanych w celu spolonizowania ziemi kaszubskiej, Kaszubi z ironią nazywali *kùlturtrégrama* (szczerzycielami oświaty i cywilizacji). Antykaszubską politykę inspirował oczywiście rząd, nadzorował na miejscu wojewoda pomorski (szczególnie wiele złego wyrządził na tym stanowisku major Stefan Kirtiklis w latach 1931-1936), a realizowali starostowie. Na tereny nadmorskie poza przedstawicielami administracji państwowej, gospodarczej, wojska i policji, ciągnęli – jak pszczoły do miodu – wszelkiej maści cwaniacy i spekulanci, którzy korzystając z naiwności tubylców masowo wykupywali atrakcyjne tereny. Nieopatrznie złożone podpisy na wekslach lub aktach sprzedaży i kupna, sprowadzały na dotychczasowych kaszubskich właścicieli masę kłopotów. Nie dziwny się zatem, że Kaszubi nauczeni smutnym doświadczeniem, stali się tak ostrożni, iż podczas spisu powszechnego w 1931 roku odmawiali składania podpisów pod wypełnionymi formularzami! To wszystko skutkowało wzajemnymi uprzedzeniami i powielaniem stereotypów: ludność napływowa traktowała Kaszubów z góry, z pogardą, nazywając ich „Niemcami”; Kaszubi odpłacali polskim przybyszom – czyli *Ruskóm* i *bòsym Antkóm* – pogardą za pogardę. A teraz, po tych niezbędnych wyjaśnieniach, pora wracać do Tupadeł.

W roku 1934 władze rozpiwały wybory sołtysów. W związku z tym 11 października tegoż roku, na mocy specjalnego pisma starosty morskiego, Stefana Wendorffa, Zygfryd Prószyński został mianowany na stanowisko przewodniczącego Gromadzkiej Komisji Wyborczej w Tupadłach. Od razu też wezwano go na specjalną konferencję, która odbyła się w Wejherowie, w sali Rady Powiatowej. Autor belferskich wspomnień nic więcej na temat tej konferencji nie napisał, a szkoda, bo być może nie miała ona charakteru wyłącznie szkoleniowego i w jej trakcie padały jakieś aluzje czy sugestie odnośnie pożądaných wyników wyborów. W każdym bądź razie co kilka dni w szkole w Tupadłach, wysłannicy starosty Wendorffa wychwalali pod niebiosa przed mieszkańcami wsi oficjalnego kandydata władz, Franciszka Klingera. Klinger był emerytowanym sierżantem Straży Granicznej, który tuż nad morzem wybudował sobie dom-pensjonat „Morskie Oko”. Oczywiście ślepo popierał politykę sanacji i – co w oczach ekipy rządzącej czyniło jego kandydaturę idealną –

nie był Kaszubą! Miejscowi szanowali Klingera za uczynność, za udzielane rady i za to, że pisał w ich imieniu podania, prośby o zwolnienie od służby wojskowej oraz odwołania od wymiarów podatkowych. No, ale tupadelska społeczność nie chciała „obcego” sołtysa, przybyłego do nich „gdzieś tam ze wschodu”, ponieważ miała kandydata „swojego”, sprawdzonego na tym stanowisku od momentu zorganizowania na tych ziemiach polskiej administracji, czyli od początku 1920 roku. Mowa o Marcinie Potrykusie, Kaszubie z krwi i kości, z dziada pradziada, pielęgnującym zwyczaję, tradycję i język swojej *tatczëznë* (ojczyzny). Ten bogaty, światły gospodarz przez czternaście lat wzorowo pełnił funkcję sołtysa w Tupadłach i cieszył się wielkim mirom wśród krajan. Jednak dla sanacji nie były to żaden argument; wręcz przeciwnie – uznano, że Potrykus dość się już „nasołtysował”, a poza tym od ośmiu lat wiały „nowe wiatry polityczne”, więc nadszedł najwyższy czas na zmiany. „Zresztą tym Kaszubom to do końca nie wolno ufać; kto ich tam wie, czy trzymają z nami, z Polską, czy może w skrytości ducha wzdychają za Reichem?” – tak zapewne rozumowali sanacyjni władarze Pomorza forsując kandydaturę Klingera na stołek sołtysa. Chłopi posłusznie, kiwali głowami, kiedy przekonywano ich dlaczego to właśnie Klinger będzie lepszym sołtysiem, niby to zgadzając się z argumentami wysłanników Wendorffa, którzy uspokojeni przebiegiem zebrań, wracali zadowoleni do Wejherowa. A tymczasem mieszkańcy Tupadeł działali zakulisowo, utwierdzając się nawzajem w przekonaniu, że trzeba głosować na swojaka. Co ciekawe, obaj rywale darzyli się szacunkiem, żyli ze sobą w zgodzie i wychylili niejedną kufel piwa przy wspólnym stole w miejscowej gospodzie; obaj także święcie wierzyli w swój sukces.



Stefan Wendorff, starosta morski w latach 1932-1936

(Źródło: <http://klastermorski.com.pl/wp-content/uploads/2018/02/Stefan-Wendorff-fot.-Narodowe-Archiwum-Cyfrowe.jpg>)

28 października 1934 roku o godzinie siedemnastej do sali szkoły w Tupadłach weszli elektorzy, czyli radni gromadzcy, mający dokonać wyboru sołtysa na następną kadencję. Na stole prezydiálním, za którym zasiadł Zygfryd Prószyński – przewodniczący Gromadzkiej Komisji Wyborczej, znajdowała się urna na głosy oraz wykaz dwunastu radnych w układzie alfabetycznym, a wśród nich nazwiska obu kandydatów na urząd najniższego rangą przedstawiciela władzy administracyjnej w II Rzeczypospolitej. Po przywitaniu elektorów i wyjaśnieniu zasad procedury wyborczej, Prószyński wręczył każdemu radnemu karteczkę ostemplowaną pieczęcią gromadzką, na której należało napisać imię i nazwisko proponowanego przez siebie sołtysa. Kiedy karteczki już zapisano, radni, wzywani kolejno według sporządzonej urzędowo listy, podchodzili do urny i oddawali swój głos. Napięcie sięgnęło zenitu, gdy przewodniczący Komisji Wyborczej powoli, wręcz z namaszczeniem zerwał papierowe taśmy zabezpieczające urnę, po czym wysypał jej zawartość na stół prezydiálny. „Teraz nastąpiła taka cisza” – wspominał Prószyński – „jaka jest widziana (słyszana) przez pisarzy-marynistów opisujących oko cyklonu. Wziąłem pierwszą kartkę i odczytałem wyraźnie akcentując: Franciszek Klinger. Na sali podniósł się jakiś niepokojący szmer i nastąpiła trwoźna konsternacja. Wziąłem drugą karteczkę i odczytałem: Marcin Potrykus. Z głębi sali lekcyjnej wzniosło się głośnie westchnienie, jakby ulgi. Chwyciłem kolejny papierek i znów przeczytałem: Marcin Potrykus. I tak jedenaście razy. Wypełniłem protokół wyborczy, na którym zaznaczyłem oddanie wszystkich głosów ważnych w ilości dwunastu. Potem wpisałem ilość głosów oddanych na każdego kandydata i podpisałem się. Spojrzałem na salę. Cisza trwała nadal, tylko muchy nie dawały za wygraną, brzęcząc uporczywie między oknami. Wziąłem urzędowy protokół w rękę i zacząłem czytać: »Większością głosów jedenaście do jednego sołtysem w nowej kadencji został wybrany Marcin Potrykus«”. Do sołtysa-elekta podszedł pokonany rywal i złożył mu serdeczne gratulacje. *Post factum* okazało się, co bardzo ciekawiło wieść, kto oddał jeden jedyny głos na Klingera. Otóż był nim... Marcin Potrykus! Stąd proste wnioski, że Klinger zagłosował za Potrykusem, i że obaj konkurenci zachowali się jak prawdziwi dżentelmeni.

Na pewno po dżentelmeńsku nie zachowali się urzędnicy powiatu morskiego na czele ze starostą Stefanem Wendorffem, ponieważ w kilka dni po wysłaniu protokołu do Wejherowa, nadeszło stamtąd pismo do Tupadeł... anulujące wybory ze względu na przeprowadzenie ich „niezgodnie z regulaminem wyborczym”! Nowe wybory zarządzono za dwa tygodnie. I znów do wioski zawitali wysłannicy starostwa z zadaniem „urabiania” elektoratu, a w szczególności radnych. Ludzie Wendorffa starali się łopatologicznie przekonać krnąbrnych Kaszubów o wyższości kandydatury Klingera nad kandydaturą Potrykusa. „Urzędnicy starostwa morskiego byli przekonani, że nauka nie poszła w las i nowe głosowanie wypadnie po ich myśli” – tak Prószyński podsumował pracę sanacyjnych agitatorów. A jednak w dniu głosowania nauka poszła w las! Marcin Potrykus ponownie otrzymał jedenaście głosów, a jego przeciwnik, Franciszek

Klinger, tylko jeden. Cóż, przewodniczący Gromadzkiej Komisji Wyborczej, Prószyński, był zmuszony powtórnie obwieścić zgromadzonym w izbie szkolnej radnym, że „większością głosów jedenaście do jednego sołtysem w nowej kadencji został wybrany Marcin Potrykus”. Jednakowoż sanacja wcale nie zamierzała uginać się pod presją jakichś tam „głupich Kaszubów”. „Dość wodzenia nas za nos! Dość wysyłania do Tupadeł agitatorów! My wam wybijemy z głowy demokrację i pokażemy kto tu rządzi!” – pewnie takimi mniej więcej słowy skwitowano w siedzibie starostwa powiatowego w Wejherowie fakt nadesłania następnego protokołu wyborczego z niepokornej kaszubskiej wioski. Tym razem nie zdecydowano się na wybory nr 3, tylko najzwyczajniej w świecie unieważniono – bez podania powodów – wyniki głosowania nr 2. Jednocześnie mianowano Franciszka Klingera tzw. sołtysem komisarycznym i już wkrótce rozpoczął on urzędowanie w swoim „Morskim Oku”. Tupadlanie dobrze zapamiętali sobie tę całą hucpę wyborczą i do Klingera odnosili się z wyraźną rezerwą tytułując go „komisarzem”, a kontakty z nim ograniczyli tylko i wyłącznie do spraw urzędowych. Dla nich tym prawdziwym sołtysem był Marcin Potrykus; tak też zresztą cały czas go nazywali – na przekór sanacji.

Udział Zygryda Prószyńskiego w wyborach na pewno nie wypadł po myśli sanacyjnych władz powiatowych, lecz, o dziwo, nie spotkały go z tego tytułu żadne szykany czy nieprzyjemności. Ba, 15 listopada 1934 roku starosta morski Stefan Wendorff wystosował do Prószyńskiego pismo, w którym urzędowo zwalniając go z obowiązków przewodniczącego Gromadzkiej Komisji Wyborczej w Tupadłach, raczył łaskawie dopisać: „Równocześnie poczuwam się do obowiązku wyrażeniu Panu podziękowania za wykonaną bezinteresownie i sumiennie pracę”.

Kres urzędowaniu Franciszka Klingera położyło wkroczenie wojsk III Rzeszy na Pomorze Gdańskie. Reżim narodowosocjalistyczny uznał tupadelskiego komisarycznego sołtysa za „niebezpieczny polski element” i w ramach tzw. *Intelligenzaktion* (akcja „Inteligencja”) „przeznaczono go do likwidacji”. Niemieccy siepacze zamordowali Klingera najprawdopodobniej w Piaśnicy, miejscu nazwanym po wojnie „pomorskim Katyniem” lub „kaszubską Golgotą”. Jego przeciwnik wyborczy z 1934 roku miał więcej szczęścia, gdyż zdołał ocalić życie: po odmowie złożenia podpisu na volksliście, Potrykusa wywłaszczono z majątku i wraz z całą rodziną wysiedlono do Generalnego Gubernatorstwa. Ot, takie typowe, tragiczne polskie i kaszubskie losy podczas II wojny światowej...

Kończąc ten krótki rozdział, zastanawiam się jakby można było celnie spuentować owe tupadelskie wybory i przychodzą mi na myśl dwa bon moty. Oto jeden z bohaterów filmu *Kontrakt* z 1980 roku w reżyserii Krzysztofa Zanussiego, Bolesław Bartoszek (świetna kreacja Janusza Gajosa) – prominentny wojewódzki dygnitarz partyjny, z kieliszkiem w ręku, zwracając się na przyjęciu weselnym do ojca pana młodego, wypowiada następującą kwestię: „Demokracja –

demokracją, ale ktoś tym przecież musi rządzić”. Genialne i ponadczasowe, bo proszę sobie tylko wyobrazić, że te słowa padają z ust generała premiera Sławoja Składkowskiego czy jakiegoś innego sanacyjnego bonzy – pasują jak ulał do sytuacji w Polsce w latach trzydziestych ubiegłego wieku, prawda? Drugi bon mot często cytuje w swoich świetnych felietonach redaktor Stanisław Michalkiewicz. Podobno jego autorem był „klasyk demokracji”, towarzysz Józef Stalin, który pouczał, że „w demokracji ważniejsze od tego, kto głosuje, jest to, kto liczy głosy”. Po zapoznaniu się z casusem wyborów w Tupadłach należałoby uzupełnić Stalinowską sentencję o kilka słów i tym samym nadać jej nowe brzmienie: „w demokracji ważniejsze od tego, kto głosuje, jest to, kto liczy głosy **i ogłasza ostateczne wyniki wyborów**”. Nie roszczę sobie jednak pretensji do praw autorskich i wcale nie pragnę, aby odtąd sentencja nosiła nazwę „Prawa Stalina-Suchodolskiego”. Co to, to nie!